Jan Skowron.

„LITANJA"

Treść:

MCMXX.

Druk Wł. Jagusiewicz—Opatów—1920.

I. Czarodziej leśny.

Różo jerychońska,
Świątynio czarowna,
Arko rozkoszy
Przybądź do mnie!
Kwiecie leśny,
Kwiecie mimozy,
Kwiecie pożądania,
Przybądź!
Czekam na twe karminowe usta,
Czekam na twe czarodziejskie oczy,
Czekam na twe pachnące ciało,
Spiesz się!
Będę Cię pieścił,
Będę całował,
Będę pożądał,
Będę szalał,
Idziesz?
Nie widać!
Będę Cię tulił,
Będę kołysał,
Obdarzę miłością,
Obsypię pieszczotą
Nie!
Czyżby zasnęła,
Czyżby zdradziła,
Czyżby uciekła,
Czyżby przepadła,?
Północ mija....

Różdżko czarodziejska,
Palmo cielista,
Przybytku rozkoszy,
Ciało ze złota,
Zjaw się!
Bogini moja,
Duszo mej duszy,
Istnienie moje,
Aniele mój,
zleć!
Nie słychać.
Rusałko moja,
Miłości moja,
Tęsknoto życia,
Pragnienie moje,
Bywaj!
Nie.
Ranek się zbliża,
Koguty pieją,
Gwiazdy gasną
Jasność nadchodzi,
Nie przyjdzie
Może...
Słońce się zbliża
W oknach się złoci,
Oczy oślepia,
Strach mnie ogarnia,
Dzień!
Nie przyszła...
Bądź więc przeklęta
I różo, i arko i kwiecie leśny!
Bądźcie przeklęte:

I piersi, i biodra, i usta i ciało!

Obróć się w kamień
I ty serce, i ty duszo i ty miłości.
Już nic nie pragnę,—
Czekam śmierci.

Południe.

Pogoda cudna,
Gorąco praży,
Ptactwo świergocze,
Lecz jej niema.
Przekląłem ją.
Prawda!
Przekląłem i siebie.

Wieczór nadchodzi,
Wszystko szarzeje,
Pieśni milkną,
Księżyc się złoci,
Może nadejdzie!
Nie widać...
Prawda, ona już trup.
Przekląłem ją,—
Szkoda.

Trza się więc wybrać i raz ostatni
ucałować lica;
Trza ją pożegnać i ubrać w atlasy,
bo wierną była;
W trumnę ze złota położyć jej ciało,
bo mnie kochała;
Zapłakać rzewnie, skroń uwieńczyć w wianek,—
Dziewicą była!

W welonik biały okręcić jej główką,
a pierścień złoty na palec;
Trumienkę okryć wewnątrz purpurą,
bo miłość była jej herbem;
Grób wykuć w skale, obciągnąć kirem,
a w. nogach postawić służebne;
Framugi odkryć, stoły zastawić
ciastem słodyczą i miodem;
Przybrać to trzeba zielenią, kwieciem,
bo żyjąc-żyła nadzieją;
A była cicha, była tak czuła,
jako rusałka z nad Gopła;
A była piękna, ach jaka piękna!
niby jak zorza na niebie.
Była bledziuchna niczem lilija,
a piersi miała jak łabędź;
A rączki drobne, a tak bieluchne,
jak te narcyzy w ogrodzie,
Oczęta ciemne, niby bławaty,
a włosy-jak splot jedwabiu,
Pocom ją przekłął nieszczęsny?
O gdybyś przyszła, gdym cię przyzywał,
- żyłabyś jeszcze na świecie,
Zrywała kwiatki, łapała muszki
lub wiła z ruty wianuszki?
Słowiki w gaju śpiewałyby ci,
radość byś miała, wesele;
Słońce muskałoby twoje lica,
rosa kąpała twe nóżki;
Księżyc zazdrościłby twojej krasy,
a gwiazdy cudnych warkoczy;
Nocby żal niosła przed dniem na ciebie,

że lic twych ujrzeć nie może;
A dziś?
Motyle z żalu gdzieś się schowały,
już nie latają nad chatą;
Zostały lisy, wydry, niedźwiedzie
te będą twój grób pilnować.
Będą cię strzegły niby rusałkę
lub jak boginię pustyni;
Więc bądź spokojna moja dziecino,
daruj staremu przekleństwo!
Wszak cię chowałem, żyłem dla ciebie
— zaparł się ludzi i świata,
Dla twoich oczek, dla ust różanych
przebyłem tutaj wiek cały,
Z przed twoich rączek, z przed twoich nóżek
zgarniałem ciernie i głogi.
Dla twej urody i dla miłości
pustelnię ową obrałem,
Tu znikła młodość, tu lata przeszły,
przy twoich cudnych ramionach,
A dziś!
Samżem cię przeklął;
Bom wychodował ja cię w tej puszczy,
wyrwawszy z paszczy wilkowi;
Był ostry topór, była i siła,
więc się rzuciłem na zwierza.
Późniejżem karmił: mlekiem jagodą
twoje maleńkie usteczka,
Łania co rano wchodziła w szałas,
oddając pokarm dla ciebie,
Jajeczka ptaszki znosiły tobie,
las dawał grzyby i zioła,

I tak my żyli przez długie lata...
Dziś ty dziewica, ja prawie starzec,
choć mam krew jeszcze i siłę!
Pocoś wzgardziła mną więc tak wcześnie
uleciała hen w lasy?
Byłbym nie przeklął:
Ni twoich lic,
Ni twoich ust,
Ni twego życia,
Gdybyś wróciło,
A dziś zapóżno!
Dziś już spoczywasz na zielonych mchach,
a las ci szumi nad głową;
Uśmiechu niema na twoich licach,
jeno martwota i smutek;
Sosny żałobne pieśni ci nucą,
zwierz dziki stroni od ciebie;
Zgasło ci słońce i złota jasność.—
Zamarły zioła i kwiaty.

* * *

Trza więc wziąść lutnię i w gęste bory
iść szukać martwego ciała;
Uderzę w struny, a głos gdzie padnie
udam się śmiało w te strony;
Idąc, żałobne pieśni zanucę,
niech zwierz i ptactwo zapłacze.

Niech smutek padnie na całą ziemię;
Niechaj wygaśnie złe ludzkie plemię,
Niech zamrze uśmiech zdradliwej kobiety,
I jej kochanków.
Zbóje niech topią dziś w sercach sztylety!

Przed Bogiem nie zdadzą z dnia tego rachunku,
Bo dziś dzień smutku!
Dziś dzień żałoby!

Więc tam, gdzie zdrada, idźcie pomalutku
A przedewszystkiem wartoby zajrzeć,
Gdzie stoi szałas.
Tam ma dziecina klątwą zabita
Może spoczywa!
Cyt! co to za hałas?
Ktoś kogoś żegna, czy ktoś kogo wita—
Wszak ma rusałka nieżywa.

Chwałaż ci, Panie, to koń przebiera
wędzidła grzyzie i parska;
Lecz gdzież jest rycerz? dojrzeć nie mogę!
ciemno się robi wokoło.
Pewnie w zaroślach, lub na polance
gotuje sobie wieczerze.
Patrzmy!
O zgrozo świata! rodzie jaszczurczy
zbratany z wężem już w raju!
Wszak to ją pieści rycerz okrutny
i pocałunkiem okrywa lica!
Wszak się nie mylę, to jej są oczy,
to jej są włosy, ręce i szyja,
A jak się tuli do niego żmija
niczem wąż do jej prababki!
O bądź przeklęta podła gadzino
po raz dziesiąty czy setny!
Niechaj cię ziemia nigdy nie przyjmie,
ani cię woda zabierze!
Niechaj się twarz twa we łzach wciąż myje,

serce niech gryzie pragnie nie!
Giń! przepadnij!
Toń we łzach!
I więcej serc nie kradnij!
A zamiast miłości: miej w oczach strach.
Lecz gdy cię rzuci ten podły gach,
To się spotkamy—
Lecz nie poznamy.
Chodź moja lutnio!
Tyś jedna wierną mi została,
Tyś jedna nie zdradzała,
Tyś jedna była czysta,
Ty jedna przezroczysta.
Tyś jedna ukochana,
Przed tobą na kolana
Winienem paść!
Gdy tamta mnie zdradziła,
Tyś na twych strunach łkała,
Jak dziecko narodzone,
A jeszcze nie ochrzczone.
Ty jedna mnie pochowasz,
Ty tajemnicę schowasz,
Ty grób mi zamurujesz,
Ty winy mi darujesz!
A później na mym grobie,
Będziesz grać mnie i sobie,
Będziesz grać w mej pustelni,
Aż ludzie źli, bezczelni,
Porwą ci struny,
Zostaną tylko wrony
I te na wszystkie strony
Zakraczą—

O dziadku pustelniku,
O rycerzu, koniku,
O pannie i kochanku,
O zdradzie i jej wianku,
A po Tobie moja lutnio,
Zapłaczą!
A póżniej może skały
Będą po nas płakały,
A może wspomną trawki
Motyle, ptaszki, kawki,
Co do nas przychodziły,
Gdy mroźne zimy były.
I małe te ptaszyny,
Co jadły okruszyny.
Więc żegnaj, moja lutnio,
I ty lesie zielony,
Zanuć mi pieśń ostatnią
Na wszystkie świata strony;
Zanuć mi pieśń cmentarną
A duszę mą ofiarną
Powołaj, Panie.
Na Sądzie Twoim,
Tak jak jest stanie,
A miłosierdziem swoim
Ty ją okryjesz
I grzechy zmyjesz.

II. POWRÓT.

Więc dziś trza wracać do puszczy leśnej,
odnaleźć chatkę i opiekuna.
Czas szybko minął, złoty czar prysnął
miłość się starła, zostało dziecię.
Rycerz kochanek w dalekie kraje odjechał
zbrojno, lecz może wròci.
Ach wròci, wróci, nie płacz, dziecino!
zapomnieć o nas nie może!
Sarenkę w lesie będziem doili,
zbierali grzyby, zioła, jagody.
Ptaszki nam będą jajeczka niosły
mamy i rybki, mamy i owoce,
Więc pójdźmy!
Zabierzmy z jurty wszystkie pamiątki
i skórki z lisa, i futra z niedźwiedzia,
I srebrne kubki, i złote puhary,
zbroje, przyłbice, noże i ostrogi,
Zabierzmy wszystko.
Sarenkę naszą założym do wózka,
ona zaciągnie to wszystko do chaty.
Tam jest przyjemnie i tam me dzieciństwo
zeszło bez troski i płaczu,
Tam niewiedziałam co łzy oznaczają:
ni męka bólu, ni męka tęsknoty.

Tam niewiedziałam, że miłość to smutek
że miłość – radość, że miłość to życie!
Że po niej płakać, szaleć, czy rozpaczać,
a nawet zginać może ktoś na świecie.
Jam znała ptaszki, motyle i muszki,
zioła i trawki, kwiatki i jagody.
A dziś?
Znam co to miłość i co to cierpienie,
co pocałunki i co to pieszczota.
Co to jest wola rycerza i pana,
co pożądanie, kochanek i zdrada!
Wracajmy zatem, dziecino moja,
Wracajmy do naszej chatki,
Bo tam ma własność mateńka twoja,
Kanarki, szczygły, a dla nich klatki!
Tam ma kwiatuszki,
Tam ma wianuszki.
Dziś z nich pieluszki,
A może fartuszki
Zrobimy.
A więc idziemy!

* * *

Zbliż się, sarenko! w zaprząg cię ubierzem;
Co mamy w jurcie, to wszystko zabierzem,
I będziem jechać przez ten las dębowy,
W którym straciłam swój wianek mirtowy,
W którym poznałam pięknego rycerza,

A ten nauczył miłości pacierza,
W którym poznałem co to jest rozstanie,
Co to jest zdrada i co to kochanie,
Co to są pieśni tęskne i odczute,
Że serce płacze, jak branki zakute,
To znów gorące, ach jakie płomienne!
Jak dusze wielkie, wierne, a nie zmienne,
Jak dusze wielkie spragnione kochania,
W których kochanka nigdy się nie wzbrania,
Jak dusze wzniosłe i jak wiele czują,
I choć po śmierci może pokutują,
To jednak znają życie i rozkosze,
Jedni raptownie, inni znów po trosze,
Wszyscy do czasu, wszyscy póki młodzi,
Bo miłość, życie i rozkosz przechodzi.

* * *

Szkoda, że lutni nie mam w tej wędrówce,
Zagrałabym ci, dziecino w poduszce,
Zagrałabym ci piosnkę o rycerzu,
Jaką odmawiam zawsze przy pacierzu.
Zagrałabym ci piosnkę niewolnicy —
Rycerz ją śpiewał w żelaznej przyłbicy,
Rycerz ją śpiewał matce przy rozstaniu,
Ty mi ją nucić będziesz przy skonaniu,
Ty mi ją nucić będziesz, ma dziecino,
Dopóki chwile szczęścia nie przeminą;
Dopóki struny dawać dźwięki będą

Dopóki życia nie zakończą męki.
Będziesz ją grała gdy rycerz powróci,
Jak ją usłyszy już nas nie porzuci;
Będziesz mu grała i pieśni dziecinne,
A twe usteczka czyste i niewinne
Przypomną czasy: odległe i dawne,
Wspomnienia piękne, wzniosłe, lecz i marne.

* * *

Ciągnij, sarenko-droga nie daleka,
Tam na nas leśnik, z upragnieniem czeka;
Musiał posiwieć, a może nie żyje,
Lecz jak ja przed nim swoje winy zmyje,
Jak się pokażę przed jego oblicze,
I jak nieszczęsna swe grzechy przeliczę.
Jak wytłomaczę tę dziecinę małą!
Skąd mi się wzięła i jak się to stało.
Co to za dziecię, co tak cicho kwili?
Skąd wy, zapyta? skąd wy, moi mili?
Co to za zbroja, co to za przyłbica,
Czyś ty jest matka, czy może dziewica?
A ja nie będę mogła mu nic rzeknąć,
Żeby się w słowie czasem nie zalęknąć,
Żeby nie upaść, nie zalać się łzami,
Że to ja z lasu, że się dawno znamy.
Że to ja jego jestem wychowanka,
Że dziś przychodzę grzeszna i bez wianka,
Że dziś przychodzę czynić tu pokutę,
– Że resztę życia mam ja już zatrute!

Niech mi przebaczy, lub niech mnie zabije,
Ja swoją hańbę codzień łzami myję,
Codzień się modlę: za niego, za dziecię,
Bo, prócz nich, kogóż mam biedna na świecie?
A teraz skręcimy na lewo w polanę.
Już nie daleko, widać białą ścianę.
Lecz jakoś cicho dookoła domu,
Więc się skradajmy: wolno, pokryjomu.
Nie becz, sarenko! nie płacz i ty, dziecię!
Ja drzwi otworzę dopiero wejdziecie.
Za wami: zbroje, pamiątki, puhary
Niech się zadziwi nasz opiekun stary,
Niech pochwalone imię Pańskie będzie
Na ziemi, na morzu, w chałupie i wszędzie!
Cóż to? Odpowiedzieć nikt biednej nie raczy,
Nikt nie chce spojrzeć w moje łzawe oczy?
Więc ja podniosę i popatrzę wszędzie!
Niechaj się stanie! niech co ma być będzie
Cóż to za szkielet obejmuje lutnię?
Tak, to on! co kochał okrutnie:
Ją i muzykę, ptaszki i motyle.
Smutne te dzieje jam może sprawiła,
Jam i tę lutnię i jego zabiła.
Zatem pogrzebać trza te dwa szkielety,
Mogiłę przybrać, ogrodzić sztachety,
Odmówić pacierz; wieczny odpoczynek —
Będzie ostatni z mej strony uczynek:

Przed Bogiem! może i przed niemi,
Bo któż odgadnie, drogami jakiemi
Chadzają dusze w niebie i na ziemi?

* * *

Sarenko moja, teraz sobie spocznij,
A ty, dziecino, w zielonych mchach zaśnij
Wy zaś: pamiątki, puhary, zbroice,
które kochanka widziałyście lice,
Coście broniły jego w krwawych bojach
Teraz zawiśnijcie w tych leśnych pokojach.
Gdy pan wasz wróci, rade będzie serce
Zeście wśród ludzi, a nie w poniewierce.
A teraz chodźcie zamną, zmarłe kości,
Coście nie znały: pychy ni zazdrości,
Coście nie znały zbrodni, upodlenia,
Aż do dziesiątego może pokolenia.
A zatem kopię wam tu grób,
Aż na kilkanaście stóp,
Żeby był dość obszerny,
Bo człowiek ten był wierny,
Był wierny i miłował,
A mnie biedną wychował.

Więc śpij tu duszo czysta!
A mogiła wieczysta,
Niechaj ci lekka będzie,
W niebie, na ziemi i wszędzie.

Odmawiać często będę tu pacierze:
Ojczenasz, Zdrowaś, Wieczny Odpoczynek, Wierzę
Grób pookrywam zielenią, kwiatami,
Cichą modlitwą, gorącemi łzami.
Dziecinie mojej będą opowiadać,
Jakżeś tą harfą umiał cudnie władać,
Jakżeś dzikiego uspakajał zwierza,
A mnie maleńką uczył tu pacierza.
Jakżeś wychował mnie, sierocę dziecię,
I jakżeś kochał mnie jedną na świecie,
I jak my żyli tu przez długie lata
Gdzie była: miłość, rozkosz, no i strata

* * *

Samiśmy zostali teraz, me dzieciątko.
Pancerz, przyłbica, jedyną pamiątką
Teraz nam będą, aż do końca życia,
I aż ty wyrośniesz, dziecino, z powicia.
Przymierzysz wtedy tę żelazną zbroję:
Będzie pasować-to pójdziesz na boje.
Konia na stepie pochwycisz rączego
I jak raz jeden dosiędziesz onego
To już i pomkniesz tam, gdzie krew się leje.
I tam gdzie matki Twej są dziś nadzieje:
Tam będesz szukał pięknego rycerza,
Poznasz go łatwo z białego szkaplerza,
Jakim mu sama włożyła na szyję.
Powiesz mu wtedy, że twa matka żyje

W tej samej puszczy, co kiedyś przed laty
Zrywał on paproć, zioła i bławaty..
Powiesz mu wtedy, że ginie z rozpaczy
I niech się spieszy, niech ją raz zobaczy,
Raz tylko jeden niech spojrzy w oblicze
A ja mu wszystkie cierpienia wyliczę.
Noce bezsenne, i dnie ciężkie krwawe,
I moje serce, i me oczy łzawe,
I moją duszę odkryję mu wierną,
I moją boleść cichą, a bezmierną,
I mą tęsknotę i samotność długą,
I żem dziś matką i żem dziś jest sługą.
On i tak pozna ciebie po zbroicy,
Nie będziesz nawet podnosił przyłbicy.
On cię rozpozna po koszulce złotej.
Później mu powiesz, skąd jesteś i kto ty.
Jadąc powiedział: „Zostawiam te zbroje,
Złote ostrogi i koszulkę moją.
Jak będzie synek, zrób z niego rycerza,
Naucz go w lesie polować na zwierza.
Później na wojnie niech się wprawia w szranki,
Przywiezie zdobycz, przywiedzie i branki
W walce go poznam! Poznam i te zbroje,
A wtedy rzeknę: to jest dziecko moje!“

* * *

Mijają lata, mijają miesiące,
Serce mi stygnie, a było gorące,

Ciało drętwieje, włos posiwiał cały.
Jak to już dawno, jak chłopiec był mały,
Dzisiaj dochodzi już mu dwie dziesiątki,
Trza pozdejmować ojcowskie pamiątki
I wysłać w pole, gdzie niebo goreje,
Tam widać wojna, tam moje nadzieje
Niech szuka ojca, niech go pozna w walce:
Miał złoty pierścień i podłużne palce,
Miał czarne włosy i niebieskie oczy,
Miał pierś szeroką, a z moich warkoczy
Pamiątkę! szkaplerz i jedwabną wstęgę,
By w krwawych bojach dawała potęgę,
Siłę, zwycięztwo i wieniec z wawrzynu
Za bohaterstwo i za wielkość czynu.

III. WALKA.

Na niebie łuny wciąż widać po nocach,
Panowie jadą w złocistych karocach,
Za nimi: giermki, rycerze i sługi,
W roli zostały: radła, brony, pługi,
A oni wszyscy zdażają na zamek:
Książęta, hrabie i szlachta z zaścianek,
Wszyscy po rozkaz, po słowo królewskie
Przyszli w zbroicach pod mury Wawelskie.

Wisła się złoci, kręci niby w węża
Wtem ktoś spostrzeże podróżnego męża,
Jedzie na karym, niby noc, rumaku
W pełnym rynsztunku w złocistym kołpaku
Jedzie tak śmiało i dumnie spogląda,
Nic się nie pyta, niczego nie żąda,
Tylko na zamek przeto się kieruje,
A na nim pańskość wielka się maluje.
Wjechał w podwórze i konia osadził,
Zeskoczył z siodła, po szyi pogładził
I oddał sługom stajennym w opiekę,
A sam się poszedł ochłodzić nad rzekę.
Za chwilę wraca i melduje w zamku.
„Coście za rycerz, ktoś ty mój kochanku? —
Pyta łaskawie król i pan narodu, —
Ześ już rycerskie znaki tak za młodu

Mógł zdobyć w boju?“
„Królu i Panie! jam nie z tego kraju,
Chcę tylko służyć — walczyć przy Twym boku
Więc nie odmawiaj: prośby i wyroku.“
W tem król spojrzawszy na młodzieńca zblizka,
I na rękojość złotą u szabliska,
I na koszulkę, na hełm i na zbroję
Cicho wyszeptał „Tak, to dziecko moje.“
Więcej nie pytał, tylko poszedł chmurny
I jakieś pismo wyjął z małej urny
I począł czytać z miną uroczystą,
Aż na pergamin jedną łzę srebrzystą
Upuścił.

* * *

Wschód się zaczyna i dzwony już jęczą,
W kościele pany i rycerze klęczą,
Przed progiem chłopy, pachołki i sługi,
A dzwony dzwonią raz jeden i drugi.
W tem król wychodzi z katedry lecz smutny,
A wyraz twarzy ma zły i okrutny.
Spogląda zdala na swe hufce zbrojne,
A jego oko ciemne, niespokojne,
Wciąż kogoś szuka, czegoś upatruje,
A tłum się korzy, wojsko rozstępuje.
Za królem: pany, rycerze, prałaci,
Księża, biskupi i różni magnaci.
A dzwony dzwonią ciągnięte za sznury...
Król się uśmiecha, znikł wyraz ponury,

Dojrzał swojego białego rumaka,
A przy nim świta na rozkazy czeka.
Dosiadł gó w zbroi, która złotem błyska;
Spojrzał raz, drugi. ku stronie zamczyska;
Kler zaintonował: – Rodzica Dziewica
Za nimi wszystkie schylone oblicza
I pieśń płynęła przez całe szeregi,
Niosąc aż echo w naddniestrzańskie brzegi,
Gdzie dzicz tatarska, czujna nie lękliwa,
Puszczała z łuku śmiertelne cięciwa
Kosiła ludność, wieś za wsią paliła,
A tak na Polskę prędko się zwaliła,
Że nim zdołano uformować szyki,
Już była w kraju, czyniac rzeż i krzyki.

I oto jedzie król z masą rycerstwa,
By uspokoić raz te przeniewierstwa
Tatarskiej hordy, azjatyckiej czerni,
A za nim wojsko, przyjaciele wierni.
Po prawej stronie jedzie zuch młodzieniec,
Przy boku szabla, na twarzy rumieniec,
Topór szeroki, zbroja złotem błyska,
Jedzie przy królu, trzyma się go z blizka,
Lecz nikt go nie zna i nie śmie zapytać,
By go za gbura nie chciano poczytać,
A każdy ciekaw: skad taki królewicz,
Co z twarzy więcej podobny do dziewic,
Niż do rycerza walczącego w boju...

A gdy dojechali do wsi na Bugaju,
Ujrzeli pierwsze tatarskie pikiety,
Za nimi: pożar, trupy i szkielety.
Król wydał rozkaz starszym i podwładnym,
A sam ze świtą i rycerzem ładnym
Stał na uboczu, baczny na szeregi
I na tatarskie rozpoczęte biegi.
Zrobił się zamęt, jęk koni i ludzi,
W walczących zapał do walki się budzi,
Kurzawa, tentent, zwarli się już zblizka:
Miecz, topór, pika, po karkach się ślizga
Już krew oblała pole na czerwono,
Nie jeden w myśli pożegnał się z żoną,
Już leżą trupy zblizka i zdaleka,
Już wielu kona lub ratunku czeka,
A bój się toczy, krawy i zacięty.
Już wódz tatarski ranny i ujęty,
Już konie we krwi depcą niby w błocie
Już wyginęło walczących półkrocie,
A bój się toczy i nie widać końca.
Dzień się już chyli znikła tarcza słońca.
—Szali zwycięztwa nie widać wyraźnie,
Choć obie strony tak walczą odważnie.

Wtem jedno skrzydło poczęło się łamać,
Przyleciał goniec i chciał króla skłamać,
Lecz ten już widział gdzie większa przewaga,
Spiął silnie konia i runął na wroga.

Zawrzała walka, śmiertelna i długa
I krwi zgęstniałej już płynęła struga,
A tu zwycięstwo jak dotąd niczyje
Chociaż tysiace już ludzi nie żyje
W tem króla wzięli tatarzy w półkole,
I nim się spostrzegł już nie jedną w czole
Miał ostrą strzałę z tatarskiego łuku,
A wielu konało też od nich na boku.
Lecz rycerz młody co walczył przy królu,
I choć był ranny nie odczuwał bólu,
Stanął na przeciw i bronił zawzięcie,
I chociaż dostał już nie jedno cięcie,
Nie odstępował monarszei osoby,
Ciął szablą za trzech tatarskie wątroby,
Aż przyszła odsiecz i tatarstwo padło
Lecz i młodzieńca już oblicze zbladło.
Strzała w królewskie zamiast padnąć czoło
Padła w rycerza pierś w obronie gołą.
Ocalił króla, lecz zginął w obronie
Nie wiedząc, że Ojca miał swego na tronię.
Król kazał zabrać to synowskie ciało,
A jego serce z boleści aż łkało,
Pochować strojnie, z monarszemi znaki,
Bo to był królewicz, choć nie wiecie jaki.

* * *

W puszczy bór śpiewał piosnkę pogrzebową,
Nad tą co była: kochanką, królową...

Nad tą co syna posłała na boje,
Nad tą co miała pozłacane zbroje,
Nad tą co chciała raz jeszcze kochanka,
Zobaczyć z blizka i przyczyne wianka..
Nad tą co zmarła z żalu i tęsknoty
Nie doczekawszy tej wiernej pieszczoty.

* * *

Na zamku gwarno biesiadnicy piją,
Za siebie i za tych co dawno nie żyją.
Lecz król jest smutny, troskę ma na czole,
Choć już z tatarstwa oczyszczone pole,
Zabłądził myślą w świętokrzyskie knieje
Gdzie syn się chował, gdzie matka marnieje
A może dawno zmarła w tej pustelni
Bo przecież wszyscy jesteśmy śmiertelni.
Trza będzie posłać wierne swoje sługi,
Niech ją szukają, jak las tylko długi,
Aż ją odnajdą, żywą czy jej kości;
Wszak ona była początkiem miłości,
Początkiem życia i mego kochania.
Później ta straszna chwila pożegnania.
Później ma zbroja i te pocałunki,
W końcu podane te smutne warunki.
Czym ja przewidział moja duszo smutna,
Że dla mnie Nemezis będzie tak okrutna,
Czym ja przewidział, że będę zbrodniarzem?

Zarazem królem, panem i cesarzem?

* * *

Giermki, wasale, rycerze i sługi,
Chodzą po kniejach raz jeden i długi,
Lecz nigdzie znaleźć nie mogę pustelni
Gdzie byli żywi, albo i śmiertelni.
Dzik, albo rogacz czasem pomknie w dali,
Lecz oni zwierząt przecież nie szukali,
Tylko królewskiej panny, pustelnicy...
W tem jeden spostrzegł coś na kształt kaplicy
A obok łanie beczącą zawzięcie
I już wymierzył do niej z łuku cięcie.
Lecz go zebrani przemocą wstrzymali.
I oto dziwne, kiedy się zbliżali
Sarna wciąż stała, bez lęku, bez strachu
Obok niej szkielet okręcony w łachu.
Była kobieta, włos długi i siwy.
Dawno umarła: Kopnęli, nieżywy!
W dół powpychali te kości i ciało,
Królowi donieśli co się z „baba" stało,
I dumni, że byli i że ją znaleźli
I że łanię półżywą królowi przywieźli.

* * *

Król wysłuchawszy smutnych opowieści
Mało nie upadł z żalu i boleści
Mszę pozamawiał żałobnę za zmarłą,

Lecz i tak wyrzuty jakieś, serce żarły.
Więc chwiejnym krokiem poszedł do kaplicy
Palec umaczał w złotej kropielnicy;
Począł się żegnać nabożnie i z trwogą
I mówić pacierz za kochankę drogą.
Za tę co zmarła z miłosnej tęsknoty,
Za tę co dała dziewictwa klejnoty,
Jemu królowi, kiedyś rycerzowi.
I po nim nosiła długo welon wdowi.
Panie daruj mi moje grzeszne winy!
Królewskie usta szeptały wyraźnie,
Bom ja zabójca: matki i dzieciny,
Jam to czynił że zginęły marnie!
Wybacz mi Panie i nie karz zbyt srogo,
Bom ja nie przeczuł, że fałszywą drogą,
Zgubię ich dwoje i będę grzesznikiem...
Lecz jeśli każesz, stanę się pątnikiem
I pójdę upaść u stóp Twego syna,
Jako ten grzesznik, krokami pielgrzyma,
Przejdę pustynie i stanę nad grobem
Przywdzieję habit i grubą żałobę
Głowę posypię: popiołem i ziemią
Tylko się zlituj Ty Panie nade mną,
Tylko mi daruj moje grzeszne winy,
I nie pamiętaj występku przyczyny...

I Chrystus spojrzał w królewskie oblicze,
A widząc smutek i łzawą źrenicę

Zda się pcwiedział „grzechów nie policzę,
Lecz w mej obronie przywdziewaj przyłbice
I walcz!
Król powstał.
Przysięgam Panie na ten miecz żelazny,
Że będę zawsze dla ludzi przyjazny,
A dla Cię Boże wierny jak anioły.
Schował do pochwy miecz błyszczący goły
I wyszedł.
W kaplicy zapanowała cisza.
A tylko w stallach (jakoś postać mnisza
Skulona, nędzna, szeptała pacierze:
Ojczenasz, Zdrowaś, wieczny odspoczynek, wierzę
To znowuż, Zmiłuj się Panie! starowina, mówił
A jego wargi, ręce i łysina,
Trzęsły się jak okropnie, jak w śmiertelnej febrze,
I widać było że i on – coś żebrze.
Lecz czy dla siebie, czy dla bliźnich braci,
Nikt by odgadnąć nie potrafił z blizka
Bo tu się modlili: królowie, prałaci,
Za siebie, za krewnych, – za różne nazwiska.
W końcu padł krzyżem na kamienne płyty
I tonac we łzach prosił zmiłowania,
Lecz nie dla siebie, ani dla kobiety,
Lecz dla narodu były te błagania.

Rytwiany 1919 r

Jan Skowron.

„Legenda o nagiej dziewczynie"

JAN SKOWRON.

„Legenda o nagiej dziewczynie" cz. I.

A teraz opowiem rzecz bardzo wesołą,
Jak dziewczynę jedną gołą
Spotkałem w kąpieli.
I jak ją później anieli
Okryli skrzydłami.
I jak ją własnemi ustami
Całowali.
A cherubini mali
Piosnki śpiewali.
I jak amorki złote
Zapatrzyły się na tę pieszczotę,
I jak odwiodły łuku sprężynę
I śmiało puściły w nagą dziewczynę
Zatrutą strzałę.
A później psotniki małe
Uciekły !
Rumieńce ich piekły,
Później ją wzięły anioły na skrzydła,
A że im nagość... jej już trochę zbrzydła,
Więc ją złożyły w królewskiej kaplicy,
A same w zamkowej świetlicy
Znikły w ciemnościach.
Po tych sprośnościach
Leżała naga przed jednem z ołtarzy,
A bladość jak śmierć była na jej twarzy,
A rana w sercu, pragnienie zaś w ciele
Bo nie wiedziała że leży w kościele.

Noc czarną chmurną okryła jej ciało,
Lecz jej się we śnie coś jakby zdawało,
Że stoi nad nią król ze swoją switą
I mówi: Powstań ty grzeszna kobito!
Powstałam z klęczek i tak stoję naga,
A przecież dla króla to była zniewaga
Żem całkiem goła przed jego obliczem,
Stała bez sukien, nie okryta niczem.

———

Później żem śniła, że piękni rycerze
Jak te anioły mówili pacierze.
I nad mem ciałem rozkosznem i młodem
Się zachwycali. A mnie jakby lodem
Coś okładało.
A później znowuż coś mi się zdawało,
Jakby mnie wzięli na złociste tarcze
I nieśli w zamek przed oblicze starcze
Jakiegoś króla, księcia czy biskupa,
A on się pyta: co to za skorupa?
A tak się patrzał już na mnie zajadle,
Że mi się sucho aż zrobiło w gardle,
A mokro w ciele
Ty coś robiła—pyta się w kościele?
Jam stała blada podobna lilii;
Rycerze na boku coś cicho mówili.
Ty coś robiła niewierna w kościele?
Pyta raz jeszcze ten starzec w koronie,
A takim tonem jak ksiądz na ambonie
Do ludu przemawia.
A do okoła kolorami pawia
Już tak się wszystko świeciło,
Że mnie to prawie zaćmiło.
Więc ja się schylam przed złotą koroną

I mówię: króla ja nie jestem żoną
Jam oblubieńców dziś anielskich miała
Zeszli mnie w rzece kiedym się kąpała
I tu złożyli w kaplicy.

K r ó l.

Spojrzyjcie w oczy tej oblubienicy
Anielskiej!
I czy czasem nie uległa pokusie djabelskiej
Zbliżył się biskup, czerstwy, w pełnej-sile,
Który nie myślał jeszcze o mogile,
A o ludzkich grzechach
I o swoich pociechach.
Lecz gdy się dotknął do mojego ciała,
Tom tak na niego ogniście spojrzała,
Że zbladł!
Bom tak rzuciła na niego slepiami,
Jak Ci anieli białemi skrzydłami
Na mnie w kąpieli.
Więc oniemieli
Biskupy, króle, rycerze i pany,
A nawet mnichy i stare kapłany.
Dopiero młody jakiś cherubinek
Doszedł i ubrał me ciało w barwinek,
A głowę w welon i wianek ruciany.
Później na chórze zagrały organy.
Jeden z rócerzy popatrzał na moją twarz
Ujął pod ramię i pod wielki altarz
Zaprowadził.
Wśród zapachu: róż, jaśminu i kadzideł.
Tam ksiądz wyczytał nam jakieś przysięgi,
My ręce kładli na prastare księgi
I powtarzali słowa za kapłanem:

Jam twoja żona, a tyś moim panem!

Gdym się, zbudziła leżałam w kaplicy,
A zakonniki czytali przy świecy
Nad mojem ciałem obnażonem gołem.
I nie jeden spojrzał też okiem wesołem,
Lecz udawał, że śpiewa, czy się za mnie modli.
A ją leżę i myślę: jak wy wszyscy podli.
Później wzięli kadzidła,
Mirzę, kredę i pachnidło.
I wyganiali szatana,
A na moje kolana
Wciąż patrzeli.
A żem bez bielizny leżała naga-nieśmieli
Dotknąć się choćby rękami,
Tylko jak kruki czarnemi ślepkami
Pożerali me ciało.
Lecz kiedy już dniało,
Pogasły im świece.
Wtedy te mnichy podlece
Zaczęły mi coś szeptać;
I po nogach mnie łechtać.
Więc ja myślę: o rany!
To wy takie kapłany.
Także wy święte mnichy,
Co spijacie kielichy,
I z męki Chrystusa Pana
Robicie godło szatana?
Zdjął mnie lęk tak w kościele
Gdym poczuła na ciele
Usta męskie z wąsami
I tych mnichów z brodami.

Powstałam więc cichaczem
I wzięłam krzyż do ręki,
I niepomna: na Boga, ani na Jego męki,
Zaczęłam nim bić niby kartaczem.
Roztłukłam go na sztuki
O łby mnichów w kościele,
Reszte niech zdepcą kruki
Zostało już niewiele.
Chrystuś mi to daruje
Lub grzechy odpokutuje,
Wtedy wyszłam z kościoła,
Lecz nie byłam już goła
Ubrałam się w ornaty,
W jedwabie, w złote kwiaty.
Wzięłam złote kielichy
W których pijały mnichy
Wino
A oni za mną, dziewczyno!
Czyś ty szalona czy-dostała wścieklizny,
Że w Chrystusa podobizny
Ześ się przybrała?
Lecz jam się ich nie bała,
Tylkom szła wciąż do góry,
Aż spotkałam dwie chmury
U swoich nóg.
I spytałam, gdzie jest Bóg?
Te spojrzały zdziwione
I chciały zejść na stronę,
Lecz ja proszę: postójcie!
Wy się mnie tu nie bójcie,
Bo ja chce iść do Pana,
Ze skargą na kapłana..

Ze skargą na świątynie,
Bo co oni z niej czynią?

Lecz mnie dognał mnich tłusty,
Który lubił odpusty,
I nie stare kobiety
I niewinne podmiety.
Dopadł szatan brodaty,
Pozdziera mi ornaty,
Roodbierał kielichy,
A mnie jak gałgan lichy,
Kopnął znów nogą z góry.
Lecz szły jakieś dwie córy
Jakby królewskie,
Bo ich oczy anielskie
O tem mówiły.
I gdy mnie płaszczem już swoim okryły,
Jedna spytała:
Kto ty jesteś mała?
I dlaczego jesteś gołą?
Więc ja schyliłam przed obiema czoło
I mówię jak było od samego początku;
O aniołach, biskupach i o zmarłem dzieciątku
Zataiłam jedynie o mym lubym kochanku
I o straconym dawno, gdzieś za górami, wianku.
Lecz straciłam już pamięć jak to już dawno było
Czy przed moim nieszczęściem, czy przed moją mogiłę
Czy przed moim kochaniem, upodleniem, zagladą
Czy przsd moim rozstaniem, czy przed ostatnią zdradę
Mózg mój już nie pamięta.
Wiem żem dziś już przeklęta.
Nie powiem i o dziecinie
Które śpi w sitowinie,

I jak go rybki kołyszą,
Gdy płacz w wodzie posłyszą.

Więc mnie królewny wzięły jak równą pod rękę
I znów wprowadziły w świątynię.
Kazały się modlić i Chrystusa męcę
Przypatrywać, i mówić co czynię
Naga i grzeszna na świecie?
Czym ja jest grzeszna wy tego nie wiecie,
Gdyż nagość nic nie dowodzi.
Lecz gdy król poddanych głodzi
To ta już jest grzech okrutny.
I Pan Jezus wtedy smutny
Robi się na krzyżu.
Gdy król chłoszcze lud karami,
Do spółki ze swemi sługami,
I mieszka w zamku ze śpiżu,
Wtedy Chrystus jest na krzyżu
Śmiertelnie smutny.
Bo los ludzi jest okrutny,
Na tym padole płaczu,
Myśleć musi o haraczu,
By go oddać na czas w zamku,
To jest grzechem mościa panny.
Lecz te znikły już w krużganku
I kazały wody w wanny
Ponalewać.
Lecz święconej, z kropielnicy,
Która więcej do łzawnicy
Jest podobna, niż do niszy,
A więc nie trzeba ogrzewać
Bo to łzy są w tych kościelnych kropielnicach,

Które płyną ludziom po cierpiących licach
Jak przychodzą całować rany u Chrystusa.
A zatem i ja naga i grzeszna dusza,
Zamiast w świętym hyzopie
Wykąpię sie w łzawym ukropie,
Cierpiących udzi.
Dobrze! bo tam są i me łzy krwawe,
Tam są i łzy mojej matki,
Więc niech się dziś dusza wzbudzi
I okryje w świętą sławę.
Niech się modlą zamnie dziatki,
Niech ratują grzeszną duszę,
Zanim odejść raz stąd muszę,

Wyszły mnichy z kadzidłami,
I nad upadłemi duszami
Zaczęły mówić różańce,
A jako boscy niby pomazańce
Mieli przywilej, że duszę powrócą
Na łono Boga.
—Że grzechy same nieszczęsną porzucą,
I do raju wiecznego otworzy się droga.

O miserere Domine! wyśpiewują mnichy
Mea maxima culpa, każą bym szeptała,
Lecz mnie na pamięć wchodzą kościelne kielichy
I ta chwila, tam w rzece, kiedym się kąpała,
I ta moja dziecina co tam w wodzie kwili,
Lecz gdy mnie świętą wodą znowuż pokropili
Obleciały mnie zaraz te królewskie szaty,
I znowuż mnie poznali, spojrzeli jak katy,
Lecz był to już północek-więc godzina duchów,
A zatem z gromnicami i śpiewem odeszli.

Wiem ktoś mnie podniósł na skrzydełkach z puchów
I jacyś aniołowie tuż blisko podeszli.
Z radością w sercu poznałam!
Byli ci sami, co mnie całowali w kąpieli,
Więc się im znowuż oddałam...,
A byli piękni i cali w bieli,
A takie jasne mieli swoje lica,
Niczem królewska łaźnica,
A oczy mieli przecudne i czarne
Nie jak te mnichy marne.
Wargi gorące, a takie czerwone,
Że na wspomnienie aż płonę!
A ich pieszczoty? co też za miłe i co za delikatne
To nie jak te rozkoszę płatne.

Gdym się zbudziła już po raz ostatni,
Widzę żem w rzece i w rybackiej matni
Ciągnie mnie rybak na podrywce w górę
A ja się patrzę w jego oczy bure,
I myślę: jakie dzisiaj znowuż dziwy będą
Ze mną?
Lecz ten człeczyna ukląknął nade mną
I zaczął do mnie prostacką gawędą
Przemawiać.
Lecz ja nie wiem czy się mam z niego śmiać,
Czy zasznurować milczeniem swe usta.
W tem on mi mówi: chodźtu panno tłusta!
U mnie jest chata, wygodna i pusta.

Będziesz w niej panią, uczynię cię żoną,
Będziesz se sypiać za zgrzebną zasłoną,
Będziesz se ligać na pachnącym sianie
A ja cię będę nazywał: kochanie!

Zatem jednacy, pany i biskupy
Króle, rycerze i chamskie chłopy,
Wszyscy szukają tylko rozkosznicy,
Chociażby nawet w cudownej kaplicy.

Więc gdym zasnęła w tej chłopskiej chałupie,
Zdawało mi się, że leżę na trupie.
W koło cuchnęła tylko końska pasza, —
Rybak siedział przy stole jak turecki basza,
Co to myślę za nora? skąd jam się tu wzięła?
Dopierom sę wspomniała jak się suknia zmięła
W ogrodzie z Jankiem,
I jak żem wróciła do domu już rankiem
Później dziecinę jakżem utopiła,
I swoją duszę nieszczęsną zgubiła
To znów jak sama runęłam w odmęty
I zakończyłam ten żywot przeklęty,
Bo poco zginął nieszczęsny kochanek,
A mnie odebrał mój panieńsk wianek?
Poco zostawił tę dziewczynę małą,
Kto mi odpowie na co się tak stało?
Dziś mnie znów rybak złowił w swoje sieci,
I dobrze, że niema choć on małych dzieci

Bo by na pamięć przyszło me maleństwo,
I dawno minione to moje panieństwo.
Niech tylko rybiarz zaśnie choć na chwilę,
To ja jak strzała pomknę ku mogile,
Gdy północ biła na gwiazd firmamencie,
Przyszły anioły: w bieli w djamencie,
Wzięli na skrzydła, zanieśli do rzeki
I gym zbudzona podniosła powieki,
Poznałem zaraz, byli to ci sami
Co mnie okryli pierwszy raz skrzydłami,
I całowali moje krwawe lica,
Gdym była jeszcze dziewica,
Podobni byli ogromnie do Janka
Odchodząc szepnęli: ty nasza kochanka!

Podkówki złote. cz. II

A teraz opowiem o podkówkach złotych,
Jak je znalazły sieroty,
Po wyjściu panicza z chaty
I jak się chłop stał bogaty.

Obie były mdłe blondynki,
Obie były wychowanki
Obie stały się kochanki,
Obie straciły swe wianki
Z szambelańskim synem,
Obie grzesznym czynem,
Zostały skalane
I jak białe lilje złamane,

Rzecz się działa o północy,
Gdy przejeżdżał raz w karocy,
Panicz rzadkiej urody.
A, że noc ciemna była o tej porze,
Więc się zatrzymał około zagrody.
Gdzie w śnie dziewiczem leżały w komorze
Obie sieroty
Psy na podwórzu zaczęły ujadać.
Wyszedł chłop odziany w kapoty
I pyta:
—A kto tam po nocach tu błądzi?
—Ten kto krajem rządzi!

Otwórz chłopie, bo jest okowita,
A i dla koni potrzebny spoczynek!
Chłop spostrzegł, że to pański synek,
Otworzył wrota zaświecił ożogiem,
Baba z chlebem i solą stanęła przed progiem
A witajże nam, witaj, miły Jasny Panie!
W ubogiej naszej chacie znajdziesz i posłanie
– Dobrzyście widać ludzie! zapłacę wam złotem
Tylko dajcie mi nocleg. Pomówimy o tem!
Wszedł do komory niby do ciemnicy
Lecz kiedy chłop zapalił kawałkiem gromnicy
Stanął jak wryty!
Chłop chciał się rzucić na śpiące dziewczyny,
By opróżniły posłanie w komorze,
Lecz ten go wstrzymał! „co to za kobiety
Co są podobne do róż czy maliny?
I śpią w takiej norze?
– To wychowanki są moje, nasz panie,
Obie dziewice, obie są dorosłe..
Jeszcze nie wiedzą, co to jest kochanie,
Chociaż pierzami dawno są porosłe,
Szambelan spojrzał na dziewicze piersi
Które sterczały jak z marmuru kute,
I rzekł do chłopa: bądźcie mi wierniejsi
Niż wszyscy inni, a dam wam Borutę,
Mojego konia.
Chłop się usuwa i do pasa kłania,
Panicz zostaje bez świadka w komorze

I patrzy sam jeden na te cudne twarze.
I liczy co ma jeszcze w worze,
By zostawić chłopu i dziewczynom w darze,
Miał skórki z lisa, niedźwiedzia i sarny
Miał adamaszek: czerwony i czarny,
Miał złoty kołczan, jakieś klejnoty
I złoty łańcuch kobietom na szyję.
A zatem będę miał im czem zapłacić.
I te rozkoszne ciała tak samo ukrasić.

Wtem się dziewczyny odkryły niechcący
I przez sen szeptać, jakieś czułe słówka
Poczęły.
Szambelan stał niemy, milczący,
Niewiedząc które — ciało czy główka?
Lecz gdy się obie ustami dotknęły
I pić poczęły rozkosz pocałunku
Zgasił świecę,
A sam pociemku
Gdzie te łoża kobiece
Podeszedł i wżarł się ustami w ich usta,
A później w piersi, w ciało.
I tak ta pieszczota, miłość, czy rozpusta
Trwało aż zadniało.

Słońce gdy wdarło się w panieńskie łożnice,
Spostrzegły, że już są grzesznice,
Spostrzegły, że nie są dziewice,
I, że nie był to sen ani marzenie,

A prawdziwe zdarzenie

Szambelan siedział i całował obie.
Zdejmował co droższe miał tylko na sobie
I kładł dziewczynom pod poduszkę, w siano,
A do każdej mówił: ty moja kochano!
Od butów poodrywał podkówki ze złota,
I w darze otrzymała po jednej, sierota
Chłopu podarował konika B rutę,
Babie swe suknie, zniszczone, nadprute
Reszte złota, jakie miał przy sobie
Dostały dziewczyny obie

Już dzień był jasny gdy wyjechał z chaty.
A chłop się cieszył, że został bogaty.
Obiecał jeszcze zaglądać o zmroku,
A wyjeżdżać choćb za widoku.
I zostawiać coś tam z łaski,
Dla Marysi i dla Staśki
I dla jego kobieciny,
No i na chrzciny .

I nie skłamał panicz młody,
Rzekł dotrzymał obietnicy.
Bywał w piątki, bywał w środy,
I zaglądał do świetlicy
I całował dwie dziewczyny,
I przyrzekł zaręczyny
Obiecywał pierścień ślubny

I, że niema myśli zgubnych
Obie siostry mu wierzyły,
Obie wspólnie go pieściły,
Obie się mu oddawały,
Obie silnie go kochały.
Lecz gdy minął miesiąc jeden,
On nasz będzie albo żaden,
Tak szeptały dwie dziewczyny.
Pomne na swe zaręczyny.
A gdy minął: drugi trzeci,
Zdało im się, że odleci
Ich obie.
Rzadziej bywa, mówią sobie,
Mniej nas pieści, mniej całuje
I coraz mniej obiecuje.
Obu ślub nam obiecywał
Gdy z początku bywał.
Teraz jednej nie przyrzeka,
Tylko mówi niech poczeka!
Raz Kasieńka, to znów Stasieńka,
Lecz patrz! jam już nie panienka!
Jak kiedyś, a ty widzę tak samo.
I zdaje mi się, że nas wkrótce: mamo!
Nazwą ludzie i dzieci,
Jak tylko jeszcze jakiś czas przeleci,

A gdy minął miesiąc szósty,
Szły sieroty na odpusty,

Do cudownych miejsc Maryi,
I do słynnej Kalwaryi
Włos popiołem posypały
I cicho łkały.
Padły krzyżem u stóp Pana,
I oczami wciąż kapłana
Szukały.
Aż go znalazły gdzieś w kościoła rogu,
Jak grzechy ludzkie sam przedstawiał Bogu.
I jak te dusze grzechów żałowały,
Po obu stronach uklękły przy księdzu,
Każda złożyła po złotym pieniądzu,
Jaki dostała za swoje pieszczoty
I opowiedziały, że obie sieroty
Są już oddawna.
I, że są grzeszne od kilku miesięcy
I, że myślały, że to rzecz zabawna,
Gdy ich całował jakiś syn książęcy
I, że to niewinne są takie zabawki
I, że się niczem skończą takie sprawki.
Bośmy się całowały najpierw ze sobą
We dnie, w nocy, w południe, we śnie, czy na jawie
I rozkosznie nam było, a dzisiaj żałobą
Okryły nam się twarze i zmieniły ciała.

Ksiądz.

Ja waszych grzesznych ciał już nie naprawię,
Bo rzecz się okropna stała.

Lecz dusze wasze wprowadzę na drogę,
Bo tylko tyle mogę.
Grzech wam przebaczam, bo on nie świadomy,
Lecz pamiętajcie na czyn Sodomy...
I niech się dusze w lęku waszym kryją,
A żal za grzechy, pokuta i łzy was obmyją

Wyszły dziewczyny z kościoła lecz smutne,
I cicho szeptały: jakie to okrutne
Są te pany...
Żeby świadomie tak okropne rany
Zadawać.
A ksiądz nam kazał żałować
Zamiast onemu zdrajcy,
Czy winowajcy.
Lecz gdy minęło jeszcze trzy miesiące,
Obie dziewczyny niosły coś na ręce.
Szły w stronę zamku, płacząc spoglądały,
A małe dzieciny matkom wtórowały.
Na wielkiej górze stał bielutki zamek,
A w nim ów panicz, zdrajca, czy kochanek,
A w koło niego ogromne topole,
I czarne drzewa i obsiane pole,
A dalej baszty: z kamienia, z granitu,
Posadzka, marmur, ściany z malachitu,
Dywany i mahoń, alabaster, złoto.
Więc idź! podziwiaj, zgwałcona sieroto,
Podziwiaj zdala, nie zabrudź podłogi,

Bo to pan wielki, bo to pan jest srogi

Kiedy podeszły obie matki blizko,
I zobaczyły tak wielkie zamczysko,
Zdjął je lęk wielki i niechciały wierzyć,
Aby ten panicz mógł z niemi wieczerzyć.
W ich nędznej chacie i całować lica,
Gdy każda z nich była jeszcze dziewica.
Jakże się dostać teraz w te pokoje,
Pokazać dzieci, powiedzieć, że twoje?
I jak tu sprawdzić, że to on w istocie,
który obiecał, że nam odda krocie,
Abyśmy były na świecie szczęśliwe.
A dla niego tylko życzliwe!

Z lękiem podeszła pod żelazne wrota,
Krzyż uczyniła jedna z nich sierota,
A póżniej obie zmówiły pacierze,
I kiedy w zamku dawano wieczerzę,
W miedzianą tarczę uderzyły młotem.
Stanął w niej wojak uzbrojony dzidą
W żelazny pancerz w stalową przyłbicę.
Z miną pochmurną spojrzał w niewolnice
I pyta: gdzie matki o tej porze idą?
—Idziem do zamku! powiedziały razem.—
Idziem do męża, do ojca tych dzieci,
A, że odźwierny nie był przecież głazem
Więc ich wysłuchał raz, drugi i trzeci

Lecz gdy się bramy zamknęły podwoje,
I sieroty stanęły gdzie hrabskie pokoje,
Dzieci zaczęły kwilić—
Przyszły dwa chaty bielutkie jak mleko,
I jęły się do matek i dzieci milić.
A, że do pokoi było niedaleko,
W których wieczerzę jedli biesiadnicy,
Więc wyszli słudzy, później niewolnicy,
I znów pytają: czego chcą niewiasty?
Lecz gdy poznali: powód i przyczyne
Przywiedli hrabinę

Cóż to za prośbę macie do mnie dzieci,
Że o tej porze wchodzicie w te progi?
Czyż to nie znacie za dnia do mnie drogi
I kiedy słońce, a nie księżyc świeci?
—Wybacz hrabino! miłościwa Pani,
Bo my grzechem i hańbą skalani
Wracamy z miejsca, w którym Bóg przebacza,
Gdzie serce się kruszy i gdzie też rozpacza,
A przychodzimy do ojca tych dzieci,
Bo one bez chrztu, a dzień za dniem leci,
I biedne zamrzeć moga nam na rękach,
A później cierpieć w piekle no i w mękach,

Hrabina zbladła niczem biała chusta,
I pomyślała: czyżby ta rozpusta
Mojego męża teraz dotyczyła?
A, że się w myślach swoich nie myliła

Upewniła się za chwilę.

W biesiadniej sali za ogromnem stołem
Siędzieli: pany, rycerze, biskupy,
A Wenus naga swym okiem wesołem,
Patrzała słuchając, có kto dla niej łupi.
Czy ksiądz z owieczek jakieś tam cekiny,
Czy hrabia z ludu za swe dziesięciny,
Czy rycerz w walce paciorki bursztynu,
Czy skórę garbowaną gminu?

W tem obie matki weszły do tej saii,
W której panowie jeszcze coś spijali,
I cicho w rogu stanęły sieroty,
Pełne rumieńców, wstydu i sromoty.
Zerwał się hrabia, z grona biesiadników
I krzyknął głośno na swych niewolników
Aby te baby zabrali z pokoi,
Bo to są duchy, lecz każda z nich stoi,
I szuka męża, kochanka, czy zdrajcy,
A gdy spotkała oczy winowajcy
Szła wciąż za niemi, do około sali
Aż goście powstali,
Coście za jedne pytają zebrani?
I na jaką karę jesteście skazani,
Że aż po nocach przychodzicie prosić
Miłosierdzia łaski?..
Panowie! wasz umysł jest płaski

Jeśli myślicie, że my tu zbrodniarki,
Patrzcie! oto są poczwarki,
Jasnego pana, hrabi i dziedzica
A myśmy matki, żadna nie dziewica.

I dwoje dzieci złożyły na stole,
A na hrabiego który stał w tym kole
Dziko spojrzały.
Patrz mości Panie! nasz luby kochanku,
Jakich masz synów! jak podobny mały
Jest do cieb e.
Wszak przyrzekałeś nam obum na ganku
I zaklinałeś się na Boga w niebie,
Że nas opuścić nie potrafisz w życiu.
Więc spójrz na synów, którzy są w powiciu
I powtórz słowa jeszcze raz przysięgi,
A dzieci zapisz w swe hrabiowskie księgi.

Wszak to synowie są twoi, nasz Panie,
A my twe żony i pierwsze kochanie,
Tyś nas ograbił z dziewictwa i cnoty,
A myśmy biedne na świecie sieroty,
Więc weż choć dzieci i otocz opieką,
A my pójdziemy w drogę zbyt daleką
Z której się człowiek ani dusza wraca,
I gdzie cierpienie się skraca.

Wtem czarna postać weszła do tej sali,
W której panowie dzieci wpisywali

Do ksiąg...
Stanęła, patrzy pełna żalu i mąk
I szuka wzrokiem męża wśród zebranych,
Lecz zatrzymuje oczy na nieznanych
Tylko osobach.
I ma widzenie jakoby po grobach,
Cmentarnych trupach chodziła nogami,
I, że grabarze ciężkiemi głazami,
Ją przywalali
To znów aniołki skrzydlaci i biali .
Kamienne płyty odrzucali z trumny,
A i na szarfach jakiś tytuł szumny
Pisali.
Lecz gdy podeszła i chciała przeczytać
Zaczęli grzechy jej wszystkie wyliczać,
I zbrodnie męża, tortury poddanych,
I śmiercią niewinnie skazanych.
Więc strach ogarnął jej duszę i ciało,
Podeszła bliżej gdzie dziecko płakało,
I szuka męża podobizny w twarzach,
W tych dwóch sierotach, w tych biednych łazarzach
Wtem się dzieciny uśmiechnęły razem,
A, że ludzkie serce nie jest przecież głazem, —
Więc i hrabina przyjrzała się z blizka
I zapytała matek o nazwiska,

Myśmy sieroty, hrabskie nałożnice
I wielkie grzesznice,

Zhańbione matki! bez czci i bez wiary,
Na które czekają piekielne kary.
Myśmy bez imion, bez dziewictwa krasy,
Którym na pustynie, albo w dzikie lasy,
I iść tylko zostało,
Lecz i to jest mało,
Aby grzechy i winy Pan Bóg mógł darować,
A bliźni nas pożałować!
A o imiona zapytaj tych panów,
Jakie wpisali dzieciom w stare księgi,
I ile wina trza będzie dać dzbanów,
Księdzu za chrzest podwójny, no i za przysięgi.

Hrabina stała podobna do głazu,
I wypowiedzieć jednego wyrazu
Nie była w mocy,
Dopiero podeszła i w jej czarne oczy
Spojrzała krwawo jedna z obu matek,
I zaprowadziła do uspionych dziatek,
Patrz Jaśnie Pani! czyje są te dzieci?
Do kogo podobne? przypatrz im się z z blizka.
I jakie winny już nosić nazwiska,
Nim im rok jeden czy dziesiąty zleci.

Hrabina patrzy — poznaje w nich męża,
Jego są oczy, nosek, twarz i usta,
I teraz wierzy, że to ta rozpusta
Należy do niego, jak Ewa do męża

Więc twarz nakryła kirem i żałoba,
I obie matki zabrała ze sobą,
I poszła z nimi do Hrabskiej kaplicy,
I tam przysięgę czynić przy gromnicy
K a z a ł a—
Ażeby żadna ją nie okłamała,—
Że się jednemu oddawały obie
I. że jego jednego trzymały przy sobie,
I, że jemu jednemu oddały swe wianki
I, że tyko hrabiego teraz są kochanki.

Ksiądz starowina dał im dwie gromnice,
Zapalił ogniem z poświęconej lampki
I pyta: czemu wy już nie dziewice,
A matki? i swych dzieci mamki?
Obie niewiasty załzawione oczy,
Podniosły w górę i utkwiły w męce,
Na piśmie świętem położyły ręce
I wysłuchały głos jakby proroczy
Boskiego sługi.
Później zaczęły jakby pacierz długi,
Rotę przysięgi czynić przed kapłanem,
I. że kochankiem, mężem no i panem
Był tylko hrabia!
I, że nie znały innego mężczyzny,
Prócz jego podobizny,
On tylko jeden kochał ich i zwabił
W swoje ramiona.
On tylko jeden mówił: tyś ma żona

Do mnie z wieczora, a do siostry z rana,
Tyś tylko jedna dla mnie ukochana,
Bo żadna mi nie jest tak, jak ty oddana.

I tak wierzyłyśmy, obie mu sercami,
A on nas obsypał darami.
Lecz gdy pieszczoty najadł się do syta,
I każda z dziewicy została kobieta,
Znikł nam o zmroku,
I aż dopiero po roku
My go znalazły!
Na dowód prawdy, są podkówki złote,
Chociaż już pleśnią zalazły.
One nam były dane za pieszczotę,
A później jakieś okrągłe monety
I dziś nas zowią: kobiety!

Na ołtarz święty położyły dary,
I księżowina uwierzył im stary,
Że są naprawde hrabskie nałożnice
I, że są matki – nie żadne dziewice.
I, że hrabiego są tylko kochanki,
I, że on jeden zabrał tylko wianki,
I, że on ojcem tych małych dzieciątek
I, że on hańby uczynił początek.

Więc rozgrzeszenie dał matkom i wiarę
I dzieci ochrzcił, wpisał w księgi stare,
A na hrabiego rzucił upomnienie

I żeby matkom dał tu zapewnienie,
Że ich zabierze pod dworską opiekę
Jako ten Chrystus ciemnego kalekę...

Hrabscy synowie. cz. III.

A teraz o tych synkach, co się rodziły w komorze,
A wychowały na hrabskim dworze,
I o ich matkach pracujących w zamku
I płaczących bez ustanku,
Bo ten co kiedyś całował im lica,
Znał ich dziś mianem: podła ulicznica!
A wszystkie dzieci nie znały swych matek,
Choć im co trochę przybywało latek,
Hrabia zakazał pod karą surową
Wspominać małym o ich urodzeniu;
Wynajął dla nich służbę dość wzorową
I oddał ich wykształceniu.

Więc chłopcy rośli piękni jak panicze,
A służba zwała ich młodzi hrabicze!
I choć imiona mieli dość odmienne,
I suknie czasem nosili codzienne
To nikt nie śmiał powiedzieć nazwiska,
Choć ich widział z daleka czy z bliska,
Jasna jak jedwab była każda główka,
Przy nich hrabina w żałobie, jak wdówka,
Wciąż się kręciła i patrzyła w twarze,
Jak sieroty w kościele ołtarze,
Dzieci ją zwały: mateńko ty miła!
A ta za każdem słowem się płoniła,
Bo przecież matką nie była ich z rodu

Tylko wyrwała od nędzy i głodu
Małe dzieciny!
Więc wspominała szumne zaręczyny,
Wesele, kościół, później imieniny,
Życzenia krewnych, matki i znajomych,
Że wchodzi do pokoi onych
Hrabiego.
Szumny był tytuł, szumna i zabawa
Lecz tym wołała zeby była krwawa,
Niż dostać męża takiego,
Który uwodzić potrafi dziewczyny,
I obce dzieci uznawać za syny.
A matki zaprządz do broń i do pługa
I na kochankę mówić dzisiaj: sługa!

Lecz mali chłopcy nie wiedzieli o tem
I, że ich matka pracuje pod butem,
I, że ich ojciec jest dla obu katem
I, że te płaczą pod hrabiowskim płotem,
I, że opłakują zabrane dzieciny
I, że pokutują ciężko za swe winy.
Oni się śmiali: do słońca do kwiatków,
Do róż, jaśminu, orchidei, bratków:
Do malowideł, do tarcz i do zbroi,
I do rycerza który w rogu stoi,
Ubrany cały w koszulkę ze stali,
— Szkoda, że jeszcze my jesteśmy mali
Bo byśmy się też ubrali w te zbroje

I poszli z tatką na dalekie boje.
Takie projekty snuli czasem malcy
I już myśleli o przyszłości, walce..
Już się garnęli do konia i szabli,
A raz wieczorem w zbrojownię się wkradli
I przymierzali pancerz i przyłbice,
Ostrogi, szable no i zausznice,
Lecz gdy żelaza zamknęły ich w kleszcze
I tych rycerzy przeleciały dreszcze,
Stanęli niemi na środku sali,
Lecz się już jakoś nie śmiali.

Patrzeli tylko sobie w twarze z bliska,
A służba lata wokoło zamczyska,
I szuka hrabiąt, matki kijem wali
Jakoby one tych chłopców schowały,
A oni stoją zakuci we zbroje
I mówią do się: ja się nic nie boję!
A ty braciszku czy się lękasz czego?
Bo ja to niczego.
I obaj zbrojnie przestali do rana,
Lecz gdy usłyszeli dzwonek i kapłana
Głośno krzykneli
Wpadł hrabia, służba, no i oniemieli
Na widok zbrojnych rycerzy z pikami
I z płonącemi oczami.

W czeladniej izbie matki mnierały.

I przy spowiedzi księdza ubłagały
Aby ostatni — raz ujrzeć swe syny,
I by Im Pan Bóg poprzebaczał winy.
Tak były zbite przez służbę kijami
I tak okryte krwawemi ranami,
Że Bogu ducha oddawały obie,
A myśla były: przy synach i w grobie,
Ksiądz przyprowadził do matek ich dzieci
Lecz Anioł śmierci już przez pokój leci...
Spojrzały tylko na ten szał miłości
Dotknęły ręką ciał, włosów i kości
I Bogu ducha oddały w cichości,
Jak ludzie prości.

Synowie rośli w zamkowych pokojach,
I wciąż myśleli o śmiertelnych bojach,
O wielkich czynach, rycerskiej wyprawie,
A rzadko o zabawie.
Lecz gdy już mieli lat dwadzieścia parę
I swoje konie, kasztany i kare,
Ruszyli w światy, w kraj nieznany, obcy,
A, że urodziwi byli obaj chłopcy,
Więc ich witano wszędy dość życzliwie,
I tak płynęły dni im tam szczęśliwie,
Aż się młodzieńcy zakochali razem
W jednej królewnie
A, że jej serce mieli też wzajemnie
Które nie było dla nich obu głazem,

Więc uradzili, by się o nie strzelać,
A nie rozpaczać, lub się rozanielać,
Wzięli do ręki długie pistolety,
Po zdzieble włosów kochanej kobiety,
Czerwoną szarfę podarli na sztuki,
Podział zrobili, jak nad trupem kruki,
I wraz ze wschodem dosiedli rumaków,
I jak dwuch dzikich, albo hajdamaków,
Pomknęli szybko na wysoką górę,
Aby się strzelać o królęwską córę

Gdy jasność słońca obiała ich złotem,
Padły dwa strzały z hukiem i łoskotem,
Lecz nie trafiły żadnego z rycerzy,
Zeszli więc z koni i każdy znów mierzy
Pole i dystans, równość odległości
I daje dowód ogromnej miłości
Do swej królewskiej córy.
Więc znów wjechali na dwie bliźkie góry.
I z nich zaczęli do siebie celować,
Nie myśląc jeden drugiemu darować.
Padły dwa strzały, a z nimi dwa ciała!

W on czas na zamku królewna się śmiała,
Do nowych gości, rycerzy z zachodu.
A, że do hołdów przywykła od młodu,
Więc nie raczyła nawet skinąć ręką,
Swym wielbicielom i taką podzięką
Choć ich obdarzyć.

Lecz gdy w południe słońce jęło prażyć,
Wyszła na balkon, który był nad zamkiem,
I pyta służby: gdzie rycerze rankiem
Dziś wyjechali?
Lecz nikt nie wiedział, że ci się strzelali:
O miłość i o królewnę.
Oni uznali to tylko za pewne,
Że opuścili zamek w tajemnicy,
Gdyż się kochali dwaj w jednej dziewicy.
Królewna obuch uznała za tchórze,
Gdyż nie wiedziała, że na wielkiej górze,
Oni już obaj oddali swe życie:
Za jej uśmiechy i za szkarłat wstęgi.
I, że krew płynie jeszcze z nich obficie,
A ani martwi, bez życia, potęgi...

Lecz gdy ujrzała dwa skrwawione konie,
Które przypadły przed królewskie wrota,
Uczuła drżenie w swem dziewiczem łonie,
I zdało jej się, że jest już sierota.
Więc zawołała na wszystkie rycerze,
Aby jechali ku tej wielkiej górze,
Gdzie może padli dwaj bracia młodzieńcy.
Ci zrozumieli, nie pytając więcej
Pomknęli cwałem, za krwawemi ślady,
Dopatrując się w tem zabójstwie; zdrady,
Lecz jakież było zdumienie rycerzy,
Gdy zobaczyli, że na górze leży
Jeden z braci.
Wchodzą na drugą i znów na polaci
Leśnego rana spoczywa skrwawiony.
Dotknęli! zimny, w piersi przestrzelony.

Więc ich zabrali na herbowe tarcze
I tak zanieśli przed oblicze starcze,
Króla i Pana.
I u obuch była w piersiach rana,
I u obuch szarfa ze szkarłatu.
Więc zrozumieli, że brat przeciw bratu,
Walczył zawzięcie.
Lecz w jakim celu takie przedsięwzięcie,
Żeby aż życiem młodzieńczem zapłacić.
I może obu jedną dziewkę stracić?

Lecz gdy królewna padła na te zwłoki
I całowała obu krwawe usta,
Odeszli wszyscy powolnemi kroki
I cicho rzekli: że tu jest rozpusta!
I, że królewna była ich kochanką,
Przyczyną śmierci i miłosną branką.

Król patrzał chmurny na ten szał miłości.
Lecz, że był pełen ten starzec dobroci,
Więc wyrozumiał córki serce czułe
I dał jej w rękę ze złota szkatułę,
Aby dwa serca sama w nią schowała,
A tych młodzieńców w górach pochowała.

Więc znów rycerze zabrali te ciała
I poszli na ową górę,
Gdzie się dwaj bracia o królewską córę
Strzelali.
Ta szła za nimi i cicho łkała
I żałowała, że ją tak kochali
Obaj tajemnie.
Lecz gdy na zmarłych grabarz rzucał ziemię

Zemdlała!
Podeszli sługi, patrzą, a to skała!
W kamień się z bólu obróciła cała,
I do dziś stoi ta niema dziewica
I każdy patrzy w jej bolesne lica,
A do dziś trzyma w złotej puszce serca,
Bo żaden z lubych nie był przeniewierca.
Obaj zginęli za miłość, spojrzenie...
A więc nie pójdą nigdy w zapomnienie.

„TRZY GRACJE”

Kąpały się raz trzy gracje w wodzie,
A, że zasłon nie miały na przodzie,
Więc się objęły wszystkie razem w pasie
I mówiły o Parnasie...
Aż jakiś ptaszek posłuchał ich słowa,
I do czego każda z nich jest już gotowa,
Więc począł nucić tęksnotę serduszka,
Aż młody hrabicz usłyszał i z łóżka
Zerwał sie i pobiegł za skały.
Gdzie się dziewczyny w wodzie pluskały.
Służbie dał rozkaz surowy i prosty,
By za wałami rozwarła pomosty,
I mościa panny połapała w sieci,
Jak srebrne rybki, rusałki czy dzieci,

Dziewczyny chłodząc swoje ciała w wodzie,
Snuły powiastkę, jak król wojewodzie
Odebrał żonę nadobną i młodą,
I jak ta długo wdziękami urodą
Panowała na królewskim zamku,
I jak nie jednemu mówiła: kochanku!

Hrabicz leżał nad brzegiem i wyglądał chwili
Kiedy tym pięknym dziewkom języczek się zmyli
Służba opodal w krzakach rozstawiła sidła:
Postronki, węcierze i różne mamidła.
Lecz te się wciąż kąpały i snuły powiastkę.
Aż ujrzały na niebie jednę srebrną gwiazdkę,
Wtedy się rozłączyły i znikły na chwilę
I przyniosły po harfie i jęły grać mile.

I tak jakoś żałośnie, że płacz powstał wkoło
I każdy przestał myśleć złapać pannc golą,
Służba się pozmieniała lub przepadła w dali,
A panicz zasłuchany podziwia i chwali,—
Cudne ciała boginek i pieśń instrumentu
I ulega tym czarom sile sentymentu.
Pozbył się sprosnych myśli, rozpustnego czynu,
Szukałby tylko teraz gałązek wawrzynu,
Aby wieńczyć skronie grającym dziewczynom,
Które potrafią podnieść duszę ku wyżynom.

Jedna z nich bladolica o smętnem spojrzeniu,
Która się oddawała przeważnie marzeniu,
Żaliła się na życie, że jest tak okrutne,
W którem ludzie przeważnie mają twarze smutne
W którem więcej jest płaczu niżeli wesela,
I że nikt go nie zmienia, nikt nie rozaniela.

Druga opłakiwiła śmierć kochanej matki,
Później nędza i rozpacz i sprzedanie chatki.

Trzecia opłakiwała swą niedolę własną,
I patrzyła się w niebo-na gwiazdy, jak gasną.

I każda z tych trzech gracji swoją pieśń nuciła,
I każda z nich swą duszę nagą umieściła,
W dźwiękach harfy i tonach, słowach i nastroju
I opowiedziała jak w pracy i znoju,
Ludzie na ziemi żyją,

A hrabicz tylko patrzył, że panny się myją
Już tak oddawna.
A, że legenda bardzo starodawna,
Mówiła sporo o trzech nagich pannach,
Które co roku na Świętego Jana

Kąpiel nie brały w marmurowych wannach,
Lecz szły do stawu i tam za kolana
Wchodziły w wodę.
Aż zaciekawiło raz to wojewodę
I poszedł, w ślady za swemi còrkami,
Aby je przestraszyć, zagrozić karami.
Lecz gdy zobaczył tak urocze ciała,
I jak jedna do drugiej rozkosznie się śmiała.
Tak głośno krzyknął z zachwytu i trwogi,
Że córki poszły na dno, gdzie podwodne bogi
P a n u j ą!
I gdzie dziś razem pokutują.
Tak się przelękły, że straciły zmysły
I tam gdzie staw głęboki wszystkie razem prysły!
I w głębinach wód siwych znalazły schronienie
I chociaż do dziś krewni dają wypomnienie:
Księdzu, dziadom i biednym ze swojego zamku.
To one się tu kąpią, nikną o poranku
I zawsze w trójce, razem jak te topielice,
A takie blade mają swoje lice,
Że jak ich spotka kto w nocnej kąpieli,
To myśli, że to skrzydlaci anieli.
A to są córy pokutne hrabiego,
Które się kąpią, wieczora każdego.
Tu za skałami!
Gdzie młody panicz ze swemi sługami,
Poluje już dość od dawna,
I sądzi, że to rzecz zabawna
Podglądać, no i łapać topielice,
Które łez pełne mają swe żrenice,
A serca żalem, goryczą i męką
I pokuty udręką . , .

Napełnione!
I, że miłosne marzenia prześnione
Już są tak dawno, że niema pamięci,
Albo jak w niebie wyglądają święci,
Lub na ziemi ludzie.
Już im pamięć zanikła, z jakiej to przyczyny
Znajdują się tak dawno w wodzie.
Bo nie pamiętają aby wielkie winy,
Lub ciężkie zbrodnie sprowadziły karę
I, że dziś cierpieć muszą aż trzy razem
Jak gdyby za przewinienia świeże, lub też stare,
I już nie czują: są żywe czy głazem
Czy tylko duchami!
Lud mówił o nich, że za winy ojca
Cierpią te niewinne dusze.
Bo hrabia za żywota przerzucał dziwkami
A i nie jedne zamienił w topielca,
Więc jego córki dziś cierpią katusze
I będą cierpieć na wiek wieków amen.
Bo ich nie wybawi już człeczyna żaden,
Gdyż własny ojciec zatracił dziewczynę.
I dziś się biedne męczą za skałami,
Jak gdyby za własne winy,
No i jeszcze świecą nagiemi ciałami.
Jak jakie larwy, albo rozpustnice;
Kiedy były dziewice!

— — — — — — — — — — — —

Tak opowiadano o trzech nagich pannach,
Które się nie kąpały w marmurowych wannach,
A w wielkim stawie,
Tak sobie, z żartów, czy króli zabawie.

Jan Skowron.

„Modlitwa Powstańca z 63 roku".

(FRAGMENT SCENICZNY)

„Modlitwa Powstańca z 63 roku".

(FRAGMENT SCENICZNY)

kaplica.

I

Radosna dzisiaj jest ma dusza Panie!
I rozmodlona w nadziei i wiarze,
Bo już ujrzała Twoje zmiłowanie,
I jak anieli swoje blade twarze,
Zwrócili na nas, dopomogli w czynie,
I dziś my wolni! wykąpani w winie,
W winie ofiarnym.!
Bośmy pędzili dni w żywocie marnym,
Jako ci jeńcy w pogańskiej niewoli,
Jako ci słudzy co nie mają mowy,
I którzy nie śmią mówić, że ich boli:
Serce od hańby, rana od podkowy.

Tyś na nas spojrzał okiem przebaczenia,
I wymazałeś nasze przewinienia.
Rzekłeś: powstancie, wy polscy rycerze!
I weźcie miecze szerokie do ręki,
Na siebie włóżcie stalowe pancerze,
I nie zważajcie już na rannych jęki,
Lecz ostrzem szabli przebijcie tyrany,
I skruszcie swoje wiekowe kajdany,
Ja wam pomogę!

Więc my powstali i ruszyli w drogę,
Z nadzieją w sercu, z wielką mocą w duszy,
Zbudziliśmy się na Twój głos proroczy,
I już nas oręż wroga nie zagłuszy.

Sspojrzymy śmiało swym ciemiężcom w oczy.
Tyś nam dopomógł skruszyć wroga Panie!
Bośmy wierzyli w Polski zmartwychwstanie.

Lud kornie upadł dziś przed Twem obliczem,
Twoją potęgę uznali grzesznicy,

I zobaczyli, że już nie są niczem
I że już nie są Carsey niewolnicy!
I, że już nie są w kajdany okuci,
I że niewola więcej nie powróci
Na polską ziemię.

Więc każdy nabrał krwawych mieczów brzemie
I poszedł z nimi przed Twoje oltarze.
I tam je złamał przed Twemi oczami.

Później je wzięli do trumny grobarze
I pochowali między cmentarzami.

Te Deum kornie śpiewali rycerze.
Gmin i żebracy mówili pacierze
Dzisiaj się modli ma dusza do Boga,
Dzisiaj się myje we łzach prawie cała,
Bo jak cierniowa dawniej była droga.
A dola twarda jak z granitu skała,
Tyś ją nam, Panie, zmienił na wygodną
I duszę naszą cierpiącą i głodną
Nasycił!

Więc dziś się każdy bron czy pługa chwycił
I orzę ziemie, a do Ciebie Panie,
Zanosi modły, wychwala Twe moce:
Starzec i dziecko kiedy rano wstanie
I rolnik w pola gdy zbiera owoce.
I ten co nosił na rękach kajdany
I ten co na śmierć przez Cara skazany
Ocalał!
Otóż jak wróg ten wobec ciebie zmalał
I jak połamał swoje własne skrzydła—
—Któremi zakryć chciał i twe oblicze—
I jak mu przemoc ta w końcu obrzydła
I podłe czyny ciemne i zbrodnicze.

Twoja moc, Panie, wzięła mu potęgę,
Ubrała w szarą żebraczą sjermięgę.
I precz wygnała!

Tobie, nasz Panie, niechaj będzie chwała!
Moja się dusza za Polski lud modli,
Moja się dusza do nóg Twoich ścielę.
Daruj nam Panie! możeśmy i podli
Byli zawiele!
Dzisiaj się do Twych stóp, Boże, schylamy
I przebaczenia pokornie błagamy.
I dziękujemy,ześ z nas zdjął kajdany,
Bo się łańcuchy wżarły nam już w rany,
Bo nam już oczy popuchły od płączu
I ręce ustały z pracy i haraczu.

Nam się już modlić nie dano do Ciebie,
Abyś nas czasem nie wysłuchał w niebie,
Abyś nam nie dal czasem dawnej mocy,
Przed którą drzeli: Moskal i krzyżacy.
Byś nam nie wrócił zamarłej potęgi
O której do dziś piszą stare księgi,
Byś nam nie wetknął do rąk te topory,
Którymi rąbał: Kaźmierz i Batory

Którymi walczył z różnemi pogany
I pomny tylko na Twe święte rany
Chował do pochwy miecz skrwawiony cały,
Kiedy już wrogi o pokój błagały.

Tyś dziś przymierze zawarł z nami Panie!
Bośmy wierzyli w Polski zmartwychwstanie,
Bośmy wierzyli, że pokonasz wrogi
I rzucisz wszystkich pod Twe święte nogi.

Za silną wiarę dałeś nam nagrodę
Wskrzesiłeś Polskę, wróciłeś swobodę.

Wnuczka

Pójdźmy, dziadusiu, teraz na grób matki!
Którą pamiętam ledwie odrobinę,
Gdyśmy nie mieli jeszcze swojej chatki,
A tyś mnie nosił jak małą dziecinę
Na rękach.

Zaniosę kwiaty i modlitwę łzawą,
Skargę i żale i tęsknotę długą,
No i opowiem w jakich teraz mękach
Żyjemy!
I jak krew płynie jedną wielką strugą,
Na polskiej ziemi

O matko moja! Tyś tę drogę krwawą minęła!

Dziadek

Nie budź umarłych moje biedne dziecie!
Ni bohaterów co za kraj zginęli,
Bo wszystko jest zmienne na świecie.
Wczoraj my w niewoli gnuśnieli,
A dziś? wolni! wolni! jak ptaki.
Jak orły królewskie rozwijamy skrzydła
I znaczym krwawemi szlaki:
Pochód życia.
Precz my rzucili żelazne wędzidła
I czarę którą do wypicia,
Dano nam niby truciznę!
Patrz dziecię! na te moją bliznę!
To w świętokrzyskiem otrzymałem lesie!
Od moskali.
Nie wstyd mi jej, bośmy się wtedy nie dali,
Chociaż legenda różnorodnie niesie.
O tej walce
Dziś już ze spokojem mogę zasnąć w grobie!

Wnuczka

Dziadusiu! nie mów tak o sobie,
Lecz chodź umaczać w kropielnicy palce
I prosić Boga: o zdrowie, o życie
I o spokój duszy zmarłym bohaterom.

CMENTARZ.

II

Dziadek

Patrz dziecie! tu leżą ci, co padli w walce o wolność,
Co nieśli w głodzie i chłodzie miecz krwawy,
Którzy nie mogli patrzeć na przemoc i podłość
Wrogów.
Padli, lecz miecz ten jak kolor jaskrawy
Leżał ukryty, pod opieką bogów
Aż do tej chwili,
W której obmyty łzami i modlitwą
My własnemi rękami go wbili
Ciemiężcom w gardło!
A choć i naszych masę tam padło
Tośmy ich jednak zgolili jak brzytwą
I precz wygnali!

Miecz nasz ukryty zwał się mieczem zemsty,
A był schowany w ołtarzu,
Jako relikwiarz święty;
Bośmy nie myśleli nigdy o przymierzu,
A o walce.
Patrz na ten grób! tu leżą ci, co nogi i palce,
Mają obcięte za wolność.

Wnuczka

Co za podłość!

Dziadek

To jeszcze nic, lecz połamane mają wszystkie kości.

Wnuczka

Ach kaci! nie mieli litości

Dziadek

My nie żądali litości od wrogów,
Ani miłosierdzia, ani łaski,

Lecz by wyszli z naszych progów
Dziś by jeszcze plac Saski
Mógł coś o tem powiedzieć.

Wnuczka

Mów dziadusiu! ja wszystko chcę wiedzieć
Mów, proszę!
Bo ja te dzieje nad wszystkie przenoszę
kocham bardzo!

Dziadek

Ty kochasz to, czem inni gardzą.
Lecz niech i tak będzie.
Opowiem dalej: —
Patrz! tam gdzie rośnie szalej,
Na prawo, koło muru, gdzie się płot już kończy,
Leży młodzieniec z dobrego domu;
Uciekł w nocy z ojcowskiego dworu,
Na karym koniu.
Rozesłano za nim list gończy,
A szpiegów pokryjomu
Do boru.
Lecz ten już na krakowskim błoniu
Popasał wierzchowca.
Przedarł się przez moskiewskie straże.
Lecz też i grabarze
Wzięli zadatek od tego wędrowca.
Dostał kulę w ramię.
Lecz skrywał przed nami to krwawe znamię.
Dopiero gdy padł poraz drugi, od szabli,
Czy też od piki kozackiej,
My do niego dopadli
I wyrwali przemocy zdradzieckiej.
Lecz skonał na naszych rękach!

Wnuczka

Boże! czy w wielkich mękach?

Dziadek

Usnął jak dziecię,
I już tylko trapem dostał się do swoich—,
Patrz! ten krzyżyk co na piersiach moich
To pamiątka od niego.

Wnuczka

Dziadusiu, on ze złota szczerego
I jeszcze brylanciki ma w koło sadzone.

Dziadek

Jam mu dał swój cynowy przed ostatnią bitwą.
I krzywą szable na obronę,
Która goliła tak prawie, jak brzytwa,
Moskiewskie głowy.
Zginął wraz z niemi!
Nie uszedłszy i drogi połowy.
Lecz tak się stało nie z jednemi...
No ale dosyć tej smutnej powieści
Pójdźmy uklęknąć na grobie twej matki
Która przeżyła też chwile boleści
Oblanych łzami.
Z niąśmy zesłani byli do Kamczatki
I tam wozili taczkami
Ziemię.
Za to żeśmy Polski imię
Często wymawiali w pacierzu.
Babka twa jeszcze w Żytomierzu
Zmarła.
Od uderzenia kolby padla na bruk miasta
I więcej nie wstala, przemoc ją pożarła
Święta to była niewiasta!

Poszliśmy-z matką twoją w dalszą drogę.
Okuci w kajdany, związani łańcuchy,
—A była wtedy jeszcze taka mała
Jako ty dzisiaj—
Szła nas cała chmara, a kozak ostrogę
Wbijał koniowi i na nas, a my jak te blade duchy
Jeden za drugim przechodzili skuci
I przymocowani do jednego drążka

Wnuczka

Dziadusiu to może ta wstążka
Którą ja noszę wpleconą we włosy
To z tego wygnania

Dziadek

Tak dziecię! ale ona była świadkiem twej matki konania
I dlatego jest cenna, jako te pokosy
Dojrzałego zboża.

Wnuczka

I ten medalik, gdzie jest Matka Boża
Też stamtąd pochodzi?

Dziadek

Tak! i on jest z niewoli.

Wnuczka

Boże! jak to wszystko boli
I jak mą duszą przeokropnie chłodzi!

(Klękają oboje koło mogiły i modlą się:)

Wnuczka

Matko! oto ja stoję nad twoją mogiłą jak obca
Jak biedny pielgrzym na rozstajnych drogach,
Podobna myślą do tego wędrowca,
Który się chyli na zmęczonych nogach,

I nie wie, w którą stronę ruszyć,
Gdyż dróg jest kilka,
A wszystaie nieznane.
I chociaż w boju może tarcze kruszyć.-
Tu stoi jak dziecko i nie śmie się ruszyć.
Stoi. A ta jedna chwilką,
Jest tak okrutną, jak serca złamane,
Fałszywą miłością.
Matko! gdybyś ty ożyła, choć na jedną dobę
I nasyciła dwa serca radością
Moje i swoje, a później żałobę!
Kazała włożyć już na cale życie—
Zgodziłabym się odrazu.

Dziadek

Nie poruszaj serca, które dziś do głazu
Jest już podobne.
Nie żądaj tego, co dzieci wyrodne
Żądają od ludzi.
I wiedz! że umarłych się nigdy nie budzi,.
Ani poprawia firmamentu nieba,
Bo to są dzieła boskie.
Co ma rodzić każda gleba
Nie od lat tysięcy—
I drzewo nasze, czy włoskie

Wnuczka

Dziadusiu, nie mów o tem więcej

Dziadek

A o czem słuchać chcesz na tym cmentarzu?

Wnuczka

O tem, jak to w katordze woziliście ziemię
Taczkami.
I o tym grabarzu.
Co to zbrodni brzemię,
Dźwigał na sobie.
Albo o tym królu, co go struła żona,
A później z rycerzami

Chciała leżeć w grobie,
Jak tylko nasz kraj pokona

Dziadek

I pokonała chytrością niewiasty,
I krwią zrosiła jak deszczem,
Lecz i sama padła!
Bo Polska to nie chwasty.
Też potrafi dreszczem
Przejąć narody.

Wnuczka

A więc i ona losów nie odgadła.
Swego i naszego kraju.

Dziadek

Bo chciała iść z Bogiem w zawody
I została ukarana jak Ewa w raju.
Lecz nie mówmy lepiej, moje dziecie, o tem
Bo to odświeża zbyt boleśnie rany
O grabarzu opowiem ci potem
Jak na śmierć został skazany
No i o katordze
A teraz pójdźmy! bo widzę na drodze
Jakichś ułanów.

Wnuczka

To nasi, dziaduniu! to nasi?
Jadą w tę stronę.
Za nimi jakieś tłumy, moc panów
Idą jakby na miasta obronę.
Słyszysz? jak wznoszą okrzyki:

Niech żyje Polska!

Dziadek

Tak, słyszę, to nasi...
Zmartwychwstała Polska!

„PRO MEMORIA"

Już się tylu wpisało, że miejsca nie stanie
Na moje się wpisanie,
W ten pełny pamiętnik,
który jest jak kwietnik,
Przeróżnych myśli, uczuć i kolorów
I miłych wzorów.
Więc w ostatniej stronicy, napisze na boku:
O pannie, jej kochanku i fatalnym kroku,
Jaki zrobiła.

Otóż godzina raz już późna była,
A na dworze okropne ciemności,
Gdy panna Tola, w ogrodzie, i choć w niepewności
Głośno krzyknęła:
Janku!
Ten się przybliżył i suknia się zmięła,
Lecz było już blizko poranku.
Robił się dzień.
A z nim znikł Janek i jego cień

Lecz gdy nadeszła jesienna pora o zmroku,
Tola siedziała na ganku, i płacząc, czekała wyroku
Od taty i mamy: na suknię splamioną,
I na siebie shańbioną,
I na twoje nieszczęsne wdowieństwo,
I na to pokrewieństwo

Z Jankiem
I nad straconym wiankiem
I nad smutkiem-niedolą,
I nad swoją swawolą,
I nad swoją płochością,
I nad swoją miłością,
I nad swojem sieroctwem,
Przepowiednią proroctwem
Dziekana.

Aż tu jednego rana —
Po upływie — miesięcy,
Tola nad kołyską klęczy,
I śpiewa do snu dziecinie:
O cudownej krainie,
O ogrodzie i zamku,
O ojcu i kochanku,
O kwiatuszkach rucianych
I o ustach rumianych
I o szabli ze złota,
I, że dziś jest sierota.

Dziecię słucha, lecz kwili
I piosenkę jej myli,
Lecz ta śpiewa, a łzami,
Jak ciemnemi perłami
Przeplata.
Oto widzisz zapłata!
Jest za miłość dziecino,
A ty jesteś tą winą.

Ja i ojciec przyczyną.

Lecz dziecię nie pojmuje
Nucącej mu sromoty,
Ani matki piosenki.
Za szyję obejmuje,
Szuka bluzki — sukienki,
A wśród nich piersi.
Dostawszy się do mleka
Ssie pierś, słucha i czeka
Dalszej piosenki.
Matka śpiewa żałośnie:
O nadziei i wiośnie,
O rycerzu we zbroi,
A za oknem ktoś stoi
I słucha.

Na dworze zawierucha!
Cień się oparł o ścianę
I w usteczka różane
Patrzy dzieciny,
W końcu rozwarł podwoje,
Pozdejmował swe zbroje
Wszedł do komnat i winy
Swe wyznał.

Dziecię, rzeczę, to moje!
Ty ma żona, kochanka!

T o l a

Więc żeś się w końcu przyznał,

Do zerwania mi wianka?

R y c e r z

Przyznał bym się odrazu
Lecz słuchałem rozkazu
Króla i regimentarza

T o l a

A więc honor rycerza.
Droższy był od kochanki?
Surmy, rycerskie szranki
Droższe były nad usta?

R y c e r z

To widzisz jest rozpusta!
Za kraj walka jest święta
I choć szlachta wycięta.
To honor Polski mamy
I krzywdzić jej nie damy.
Choś zginęło nas sporo
Ale ojczyznę chorą
Już my wskrzes li!

T u l a

Rozumiem! teraz wy mi mili.
Kochani! Drodzy! i ogromnie bliscy,
Żeście w obronie wyruszyli wszyscy
Tam! hen! na wroga.
A jam cię klęła i prosiła Boga;
O śmierć dla siebie, albo o twój powrot.
A iyś się wtedy do żelaznych wrót

Mieczem dobijał,
I mnieś pomijał.
I moją miłość, pieszczotę
I serca ciężką tęsknotę,
I moje oczy niebieskie,
I moje usta anielskie,
I me kolory różane,
I serce rozkochane.

Więc się teraz złączymy,
I wiarę przysięgniemy.
Niech nam grają organy!
Tyś już mąż mój kochany,
Tyś już dla mnie jedyny,
Darujmy se swe winy,
Zapomnijmy rozłąkę,
I w sercach naszych mękę.

R y c e r z

Daj twe usta spragnione.
Niech wiem że mam już żonę.
Daj twe ciało różane
I te oczy kochane

T o l a

Masz mnie całą kochanku!
Chociaż już w zwiędłym wianku.
Lecz gdy dotknęła usta,

Obleciała z niej chusta;
Bo to był duch kochanka,
A ona dziś bez wianka...